

JULIUSZ VERNE

BLAGA

Wstęp

(pochodzi z wydania broszurowego)

Opowiadanie *Humbug* jest drugim po *Pływającym mieście* utworem Verne'a nawiązującym bezpośrednio do jego podróży do Stanów Zjednoczonych, którą odbył w 1867 r. Główny bohater i narrator zarazem, tak jak i sam autor, jest Francuzem. Udaje się z Nowego Jorku do Albany, płynąc w górę rzeki Hudson. Od zbieżności faktograficznych ważniejsze są jednak jego obserwacje dotyczące amerykańskich zwyczajów. Z całą pewnością można je utożsamiać z wrażeniami Verne'a.

Co więc bohater *Humbuga* sądzi o Nowym Świecie? Otóż jest zdegrustowany zdegradowaniem człowieka do roli maszynki do robienia pieniędzy oraz konsumowania wytworów cywilizacji. Podkreśla również swą wyższość nad Amerykanami. Pozwala sobie na uwagę: *Wziąwszy razem ciężar i objętość człowieka, w Ameryce ma on mniejszą wartość niż worek węgla kamiennego czy kawy. Być może Amerykanie mają rację, ale ja osobiście oddałbym wszystkie kopalnie węgla kamiennego i wszystkie plantacje kawy za moją małą francuską osobę!* Razi go podejście do sztuki czy nauki jako kolejnych dziedzin nadających się do robienia interesów. Pokpiwa też nieco z emancypacji amerykańskich kobiet. Wszystko to traktuje jednak z dystansem, pewną dozą ironii, dzięki czemu nie można zaliczyć go do grona zatwardziałych konserwatystów, wrogów innej rzeczywistości. Jest raczej bystrym obserwatorem. Nie ukrywa również podziwu dla energii, przedsiębiorczości i pomysłowości ludzi zza oceanu.

Za prawdziwy fenomen francuski podróżnik uznaje zdolność Amerykanów do robienia wszelkiej maści humbugów, czyli wydumanych, blagierskich, oszukańczych przedsięwzięć, które przynoszą naciągaczom pokaźne zyski czy wręcz fortuny. Sukces gwarantuje im szczególnie naiwność mieszkańców Nowego Świata. Co ciekawe nie są to najczęściej działania o charakterze przestępczym, kończące się dla jednej ze stron tragicznie. Spekulant osiąga swój cel, udaje mu się nieuczciwy interes, ale ci, na których zarobił, nie czują się wcale pokrzywdzeni. Francuz postrzega więc Amerykę jako raj dla różnego rodzaju życiowych kuglarzy. Pisze: *przyszłość artystów bez talentu, śpiewaków bez głosu, tancerzy bez mocnych nóg, skoczków bez sznura byłaby niewątpliwie straszna, gdyby Krzysztof Kolumb nie odkrył Ameryki.*

To, co dla XIX-wiecznego Francuza wydawało się takie dziwne, nieznanne i wręcz niepojęte, dziś nikogo nie dziwi nawet w Polsce. Nasza rzeczywistość oferuje nam humbugi na każdym kroku. Kładziemy się na leżance psychoterapeuty, zamiast pogadać z przyjacielem; kupujemy masę niepotrzebnych, byle jakiej jakości rzeczy, bo są akurat w promocji, zamiast nabyć jedną, a porządną; nabywamy przeróżne ubezpieczenia, które mają nas chronić od wszelkich niebezpieczeństw i zapewnić w przyszłości fortunę, zamiast rozsądnie inwestować czy oszczędzać posiadane grosze. Przykłady, i to większego kalibru, można by mnożyć. Przeczytajmy więc *Humbug*, ażeby zbyt łatwo nie ulegać złudzeniom.

Opowiadanie *Humbug* zostało napisane przez Juliusza Verne'a w roku 1870. Tłumaczenie zamieszczone w tym tomiku zostało wykonane w oparciu wersję zmienioną przez syna pisarza, Michela, zamieszczoną po raz pierwszy w zbiorze opowiadań *Hier et demain. Contes et nouvelles [Wczoraj i jutro. Bajki i opowiadania]*, pod tytułem: *Le Humbug. Moeurs américaines [Humbug. Obyczaje amerykańskie]*, wydanym przez Hetzela w roku 1910, pięć lat po śmierci wielkiego pisarza.

Krzysztof Czubaszek

W marcu 1863 roku zaokrętowałem się na parowiec “Kentucky”, który obsługiwał linię między Nowym Jorkiem a Albany.

W owej porze roku duży napływ ludzi powodował pomiędzy tymi dwoma miastami wielki ruch handlowy który, nawiasem mówiąc, nie miał w sobie niczego szczególnego. Tak naprawdę, to pośrednicy z Nowego Jorku utrzymują, poprzez swych przedstawicieli, stałe stosunki z prowincjami najbardziej nawet od siebie oddalonymi i w ten sposób rozprowadzają produkty ze Starego Świata, równocześnie eksportując za granicę towary pochodzenia rodzimego.

Mój wyjazd do Albany był dla mnie kolejną okazją podziwiania aktywności Nowego Jorku. Ze wszech stron napływali podróżni. Jedni obarczali tragarzy swymi licznymi bagażami, inni zachowywali się niczym prawdziwi angielscy turyści, których garderoba mieści się w jednej niemal niewidocznej walizeczce. Spieszono się, każdy chciał prędko zająć swoje miejsce na pokładzie parowca, którego pojemność wydawała się iście po amerykańsku elastyczna.

Już dwa pierwsze dzwonki wzbudziły panikę w tłumie spóźnialskich. Trap uginał się pod ciężarem ostatnich przybywających, którzy, jak na ogół wszędzie, są ludźmi, dla których przełożenie podróży jest złą przepowiednią. Ostatecznie jednak tłum ten ulokował się. Paczki i podróżni tłoczyli się i mieszały. Płomień zadudnił w rurach kotła, pokład “Kentucky” zadrżał. Słońce usiłowało przebić poranną mgłę, nieco podgrzewając marcowe powietrze, które zmuszało do podniesienia kołnierzyków oraz wciśnięcia rąk w kieszenie i wmawiania sobie: dzisiaj będzie pięknie.

Ponieważ moja podróż nie była wyjazdem w interesach, ponieważ mój neseserek wystarczał do wzięcia tego, co mi było potrzebne, a nawet więcej, ponieważ umysł mój nie zajmował się żadnymi ryzykownymi inwestycjami ani sprzedażą – błądziłem myślami, oddając się przypadkowi, temu intymnemu przyjacielowi turystów. Miałem nadzieję znaleźć jakiś przyjemny temat – temat rozrywkowy – kiedy to spostrzegłem trzy kroki ode mnie panią Melvil, uśmiechającą się najczarowniejszym na świecie uśmiechem.

– Cóż to, *mistress!*¹ – wykrzyknąłem z zaskoczeniem, któremu dorównać mogła jedynie moja radość. – Pani stawia czoła niebezpieczeństwu i tłumowi na parowcu na rzece Hudson!

– Niewątpliwie, drogi panie – odpowiedziała pani Melvil, podając mi dłoń na sposób angielski. – Skądinąd nie jestem sama, towarzyszy mi moja stara i dobra Arsinoé.

Pokazała mi, siedzącą na beli wełny, swoją wierną Murzynkę patrzącą na nią z czułością. Słowo “czułość” warte jest podkreślenia w tych warunkach, ponieważ tylko czarna służba potrafi tak patrzeć.

– Jakimkolwiek wsparciem i pomocą mogłaby służyć pani Arsinoé – powiedziałem – uważam się za szczęśliwca, ponieważ mam prawo stać się pani opiekunem w czasie tej podróży.

– Jeżeli jest to prawo – odpowiedziała mi, śmiejąc się – nie będę panu nic dłużna. Ale jak to się stało, że pana tutaj widzę? Według tego, co pan nam powiedział, miał pan ruszyć w tę podróż za kilka dni. Dlaczego wczoraj nie powiedział nam pan o wyjeździe?

– Wtedy o nim jeszcze nie wiedziałem – odpowiedziałem. – Zdecydowałem się wyjechać do Albany jedynie dlatego, że dzwonek parowca wyrwał mnie ze snu o szóstej rano. Widzi pani w czym rzecz. Jeżeli zbudziłbym się dopiero o siódmej, być może podjąłbym drogę do Filadelfii! Ale pani wczoraj też wyglądała na najbardziej zasiedziałą kobietę świata.

– Niewątpliwie! Toteż nie widzi pan tutaj pani Melvil ale przedstawicielkę firmy Henry’ego Melvila, kupca i armatora z Nowego Jorku, udającą się dopilnować przybycia ładunku do Albany. Pan, mieszkaniec krajów cywilizowanych starego świata, tego nie zrozumie! Mój mąż nie mógł opuścić dzisiaj rano Nowego Jorku, więc ja go zastąpię. Niech mi pan wierzy, że księgi nie będą gorzej prowadzone ani rachunki mniej dokładne.

– Zdecydowałem się niczemu się już nie dziwić! – zawołałem. – Niemniej, jeżeli taka rzecz wydarzyłaby się we Francji, gdyby kobiety wykonywały prace swych mężów, ci natychmiast zaczęliby wykonywać prace swoich żon. To oni graliby na pianinie, układaliby kwiaty, wyszywaliby pary szelek.

– Niezbyt jest pan łaskawy dla swoich rodaków – odrzekła pani Melvil, śmiejąc się.

– Wręcz przeciwnie! Ponieważ podejrzewam, że ich żony wymyślają im rzemienie...

W tym momencie dało się słyszeć trzecie uderzenie dzwonu. Ostatni podróżni śpieszyli na pokład “Kentucky”, wśród pokrzykiwań marynarzy, którzy uzbroili się w długie bosaki, aby odepchnąć statek od nabrzeża.

Podąłem ramię pani Melvil i poprowadziłem ją nieco dalej, na rufę, gdzie tłum był mniej zbity.

– Dałam panu listy polecające do Albany... – zaczęła.

– O, tak! Czy życzy sobie pani, bym jej dziękował jeszcze po raz tysięczny?

– Oczywiście że nie, ponieważ stają się one całkiem niepotrzebne. Udaję się bowiem do pana Wilsona, czyli mego ojca, do którego są one adresowane. Pozwoli więc pan nie tylko mu siebie przedstawić, ale też zaoferować gościnę w jego imieniu?

– Miałem więc rację – powiedziałem – licząc na przypadek, że podróż może okazać się miła. A tymczasem, zarówno pani jak i ja, mało brakowało a nie wyjechalibyśmy.

– A to dlaczego?

– Pewien podróżny, amator tych dziwacznych zachowań, do których Anglicy mieli wyłączne prawo przed odkryciem Ameryki, chciał zatrzymać dla siebie samego cały “Kentucky”.

– Czyżby chodziło o jakiegoś syna Wschodnich Indii, który podróżuje w towarzystwie słoni i bajader?²

– O, nie! Byłem przy jego rozmowie z kapitanem, który odmówił prośbie i nie widziałem żadnego słonia mieszającego się do konwersacji. Ten oryginał był grubym, bardzo z siebie zadowolonym człowiekiem, któremu wydawało się, że ma mocne łokcie, to wszystko. Lecz cóż to! To on, *mistress!* Poznaję go... Czy widzi pani tego podróżnika, biegnącego przez nabrzeże, gestykulującego i wrzeszczącego? Jeszcze bardziej nas opóźni, bo parowiec właśnie zaczyna odbijać od brzegu.

Człowiek średniego wzrostu, z wielką głową ozdobioną parą błyszczących rudych faworytów, ubrany w długą pelerynę z podwójnym kołnierzem i w kapeluszu *gaucha*³ o szerokim rondzie, rzeczywiście dobiegał zasapany do trapu wyładowczego, którego podnoszony mostek został już usunięty. Wymachiwał rękami, wściekał się, krzyczał, nie przejmując się kpinami tłumu zebranego wokół niego.

– Hej, wy tam, na “Kentucky”! Do diaska! Moje miejsce jest zarezerwowane, zapisane, zapłacone – a wy pozostawiacie mnie na lądzie? Do diabła! Kapitanie, oskarżę pana przed Wysokim Sędzią i jego ławnikami.

– Tym gorzej dla spóźnialskich! – krzyknął kapitan, wchodząc na jedną z cylindrycznych osłon silnika. – Trzeba przybywać na ustaloną godzinę a teraz przyływ zaczyna opadać.

– Do kroćset! – wrzasnął znów gruby mężczyzna. – Dostanę sto tysięcy dolarów, nawet więcej, odszkodowania od pana! Boby – krzyknął, obracając się do jednego z dwóch czarnych, którzy mu towarzyszyli – zajmij się bagażami i pobiegnij do hotelu, a tymczasem niech Dacopa wyszuka jakąś łódkę, abyśmy dołączyli do tego przeklętego “Kentucky”.

– To niepotrzebne – krzyknął kapitan, który rozkazał zwolnić ostatnią cumę.

– Dalejże, Dacopa! – powiedział gruby człowiek, zachęcając swego Murzyna.

Ten ujął linę, kiedy właśnie parowiec ją wciągał i zakręcił żywo jej koniec na jednym z pachołków⁴ na nabrzeżu. Równocześnie uparty podróżnik pośpieszył na jedną z szalup przy oklaskach tłumu i kilkoma uderzeniami wiosła dosięgnął schodków “Kentucky”. Wdrapał się na pokład, podbiegł do kapitana i ostro mu coś wykladał, czyniąc tyle hałasu co dziesięciu

ludzi i mówiąc płynniej niż dwadzieścia przekupek. Kapitan, nie mogąc użyć nawet jednego słowa ze swych argumentów i widząc w dodatku, że podróżny nie posiadał się ze złości, postanowił więcej się tym nie przejmować. Ujął swą tubę i skierował się ku maszynie. W momencie kiedy właśnie miał dać sygnał do odpłynięcia, gruby mężczyzna podszedł znów do niego, krzycząc:

– A moje paczki, do diabła?

– Jak to, pańskie paczki! – odrzekł kapitan. – Czyżby to one, przypadkiem? Te, co nadchodzą?

Wśród pasażerów, których niepokoiło to nowe opóźnienie, wybuchły pomruki.

– Komu to ma się za złe? – krzyknął nieprzejednany pasażer. – Czy nie jestem przypadkiem wolnym obywatelem Stanów Zjednoczonych Ameryki? Nazywam się Augustus Hopkins,⁵ a jeżeli to nazwisko nie dość wam mówi...

Nie wiem, czy nazwisko to cieszyło się jakimś realnym wpływem na masę widzów. Jak by nie było, kapitan “Kentucky” został zmuszony do przyjęcia na pokład bagaży Augustusa Hopkinsa, wolnego obywatela Stanów Zjednoczonych Ameryki.

– Trzeba przyznać – powiedziałem do pani Melvil – że to dość szczególnie człowiek.

– Ale mniej dziwaczny od jego paczek – odpowiedziała, pokazując mi wozy ciężarowe, które wiozły na trap dwie wielkie skrzynie o wysokości dwudziestu stóp,⁶ pokryte woskowanym płótnem i powiązane za pomocą skomplikowanego systemu sznurów i węzłów. Górę i dół wskazywały czerwone litery, a słowo “kruche”, wypisane literami o wysokości stopy, powodowało drzenie, na sto stóp wokół, przedstawicieli odpowiedzialnych biur.

Pomimo przekleństw wywołanych pojawieniem się tych monstrualnych paczek, pan Hopkins tyle machał rękami, nogami, głową; tyle krzyczał, że w końcu zostały one ulokowane na pokładzie – po odpowiednich wysiłkach i z odpowiednim opóźnieniem. W końcu “Kentucky” mógł opuścić port i zaczął płynąć w górę Hudsonu wśród statków wszelkiego rodzaju, które płynęły obok niego.

Dwaj czarni służący Augustusa Hopkinsa stanęli sztywno obok skrzyń swego pana, które to wywoływały niesamowitą ciekawość pasażerów. Większość cisnęła się wokół, oddając się najdziwaczniejszym przypuszczeniom, jakie tylko może dać wyobraźnia zza mórza. Pani Melvil też wydawała się przejmować nimi żywo, gdy tymczasem ja, jako Francuz, siliłem się na udawanie jak największej obojętności.

– Jakimż jest pan dziwnym człowiekiem – powiedziała mi pani Melvil. – Nie niepokoi się pan zawartością tych dwóch kolosów. Co do mnie, ciekawość mnie pożera.

– Wyznam pani – odpowiedziałem – że to wszystko mało mnie interesuje. Kiedy zobaczyłem nadpływające te dwa olbrzymy, natychmiast zacząłem czynić podejrzenia jak najdziwaczniejsze. Albo zawierają one dom pięciopiętrowy wraz z lokatorami, powiedziałem sobie, albo nie zawierają nic. W obu więc przypadkach, które to, wydaje mi się, są najdziwaczniejsze z możliwych do wyobrażenia, nie odczułbym zbyt wielkiego zaskoczenia. Tymczasem, *mistress*, jeżeli pani tego pragnie, pójdę zaczerpnąć nieco informacji, które pani następnie przekażę.

– Bardzo chętnie – odpowiedziała – a ja, podczas pana nieobecności, sprawdzę te faktury.

Pozostawiłem moją wyjątkową towarzyszkę podróży, aby sprawdziła swe rachunki z szybkością kasjerów Banku Nowojorskiego, którym, mówi się, wystarczy rzucić okiem na kolumnę cyfr, aby natychmiast znali wynik.

Myśląc o tym dziwnym połączeniu, o dwoistości istoty tych miłych amerykańskich kobiet, skierowałem się ku temu, co było celem wszystkich spojrzeń i tematem wszystkich rozmów.

Mimo że te dwie skrzynie całkowicie zasłaniały dziób statku, tak jak i bieg Hudsonu, sternik prowadził parowiec z całkowitą pewnością, nie przejmując się przeszkodami. A tymczasem wydawały się one być liczne, bo nigdy rzeki, nie wyłączając Tamizy, nie są tak zatłoczone statkami jak rzeki Stanów Zjednoczonych. W czasach, kiedy Francja miała w ruchu międzynarodowym około dwunastu czy trzynastu tysięcy statków, kiedy Anglia dobijała do liczby czterdziestu tysięcy, Stany Zjednoczone miały już sześćdziesiąt tysięcy, z czego dwa tysiące statków parowych burzyło fale wszystkich mórz świata. Można oceniać według tych liczb ruch handlowy i zrozumieć również częstotliwość wypadków, których teatrem są rzeki amerykańskie.

Prawdą jest, że te katastrofy, kolizje, zatonięcia, mają niewielkie znaczenie w oczach tych śmiałych pośredników. Jest to wręcz powód do nowej działalności, danej towarzystwom ubezpieczeniowym, które miałyby złe obroty, gdyby nie dawały przeogromnych odszkodowań. Wziąwszy razem ciężar i objętość człowieka, w Ameryce ma on mniejszą wartość niż worek węgla kamiennego czy kawy.

Być może Amerykanie mają rację, ale ja osobiście oddałbym wszystkie kopalnie węgla kamiennego i wszystkie plantacje kawy za moją małą francuską osobę! Toteż niepokoiłem się nieco o rezultat naszej podróży odbywanej całą parą pomiędzy wieloma przeszkodami.

Augustus Hopkins nie wydawał się podzielać moich obaw. Należał raczej do tych ludzi, którzy podskakują, wypadają z toru, pogrążają się raczej, ale nie porzucają interesów. W każdym razie absolutnie nie obchodziło go piękno brzegów Hudsonu, które pędziły szybko ku

morzu. Między Nowym Jorkiem – punktem wyjścia, a Albany – punktem docelowym, było dla niego tylko osiemnaście straconych godzin. Cudowne przystanie na brzegu, miasteczka zgrupowane w malowniczy sposób, laski tu i ówdzie rozrzucone między wsiami jak bukiety u stóp primadonny, ożywiony bieg wspaniałej rzeki, pierwsze powiewy wiosny – nic nie mogło odciągnąć tego człowieka od jego myśli handlowych. Chodził tam i z powrotem po pokładzie “Kentucky”, mrużąc nie kończące się zdania lub siadał gwałtownie na pakunku towarów i wyciągał z jednej ze swych niezliczonych kieszeni szeroki i gruby portfel wypełniony różnego rodzaju papierami. Wydawało mi się nawet, że zauważyłem, iż rozkładał jak talię kart tę kolekcję papierzyśk dotyczących handlowej biurokracji. Grzebał z zapalem w olbrzymiej korespondencji i rozkładał listy adresowane ze wszech krajów, oznaczone znaczkami wszelkich urzędów pocztowych świata, a których gęsto zapisane linijki przebiegał wzrokiem z bardzo wyraźnym i, myślę zawziętym, zapamiętaniem.

Wydawało mi się więc całkowicie niemożliwe zwrócić się do niego, celem dowiedzenia się czegoś... Na próżno kilku ciekawskich chciało wypytać dwóch czarnych, postawionych na straży tajemniczych skrzyń. Ci dwaj synowie Afryki zachowywali całkowite milczenie, w sprzeczności z ich zwyczajową gadatliwością.

Już miałem powrócić do pani Melvil i przekazać jej moje osobiste wrażenia, kiedy znalazłem się w grupce, w środku której perorował kapitan “Kentucky”. Sprawa szła o Hopkinsa.

– Powtarzam państwu – mówił kapitan – ten oryginał nigdy inaczej nie robi. Dziesiąty raz płynie w górę Hudsonu, z Nowego Jorku do Albany, i oto dziesiąty raz spóźnia się, jak również po raz dziesiąty transportuje podobne ładunki. O co tu chodzi? Nie wiem. Mówią, że pan Hopkins buduje wielkie przedsiębiorstwo kilka mil⁷ od Albany i że ze wszystkich stron świata przysyłają mu nieznanne towary.

– To musi być jeden z głównych agentów Kompanii Indyjskiej⁸ – powiedział jeden ze słuchaczy, który właśnie założył przedstawicielstwo handlowe w Ameryce.

– Albo raczej bogaty właściciel kalifornijskich złóż – odpowiedział inny. – Musi tam wchodzić w grę jakaś dostawa...

– Albo też jakieś zasądzenie, o które mógłby się ubiegać – powiedział trzeci. – “New York Herald”⁹ wydawał się to przepowiadać ostatnimi dniami.

– Wkrótce – podjął czwarty – zobaczymy emisję akcji nowej spółki z kapitałem pięciuset milionów. Pierwszy zapiszę się na sto akcji po tysiąc dolarów.

– Dlaczego pierwszy? – powiedział ktoś. – Czyżby miał pan już promesę¹⁰ w tej sprawie? Ja jestem gotów przelać sumę równą dwóm setkom akcji i więcej, jeżeli będzie to konieczne.

– Jeżeli po mnie coś zostanie! – krzyknął z daleka ktoś, kogo nie mogłem widzieć z przodu.
– To na pewno chodzi o założenie linii kolejowej między Albany a San Francisco, a bankier, który będzie licytатorem, jest moim dobrym przyjacielem.

– Cóż pan mówi o kolei! To pan Hopkins zainstalował kabel elektryczny w poprzek jeziora Ontario, a te wielkie skrzynie zawierają mile przewodów i gutaperkę.

– W poprzek jeziora Ontario! Ależ to jest złoty interes! Gdzież jest ten gentleman? – wykrzyknęli liczni pośrednicy opanowani demonem spekulacji. – Niechże pan Hopkins raczy wyjawić nam swe przedsięwzięcie. Dla mnie pierwsze akcje!

– Dla mnie, proszę, panie Hopkins!

– Nie, dla mnie!

– Nie, dla mnie! Daję tysiąc dolarów premii!

Zamówienia i odpowiedzi krzyżowały się a zamieszanie stawało się ogólne. Mimo że spekulacje mnie nie pociągały, poszedłem za grupą graczy giełdowych kierujących się ku bohaterowi “Kentucky”. Hopkins wkrótce został otoczony zwartym tłumem, którego nawet nie zaszczylił spojrzeniem. Długie kolumny cyfr, liczb mających niewyobrażalną ilość zer, wiły się w jego notatniku. Cztery operacje arytmetyczne tłoczyły się pod jego ołówkiem. Miliony wymykały się z jego ust z szybkością tornada. Wydawał się być ofiarą szału rachunków. Wokół niego, wbrew burzom wywołanym w tych wszystkich amerykańskich głowach pasją handlową, zapadła cisza.

W końcu, po straszliwych operacjach rachunkowych, w których mistrz Augustus Hopkins trzykrotnie złamał ołówek na wielkiej jedynce, która wiodła za sobą armię ośmiu wspaniałych zer, wypowiedział te dwa sakramentalne słowa:

– Sto milionów.

Następnie złożył szybko papiery w swym olbrzymim portfelu i wyciągnął z kieszeni zegarek ozdobiony podwójnym rzędem drobnych pereł.

– Dziewiąta! Już dziewiąta! – krzyknął. – Ten przeklęty statek nie płynie! Kapitanie!... Gdzie jest kapitan!

Powiedziawszy to, Hopkins przeszedł gwałtownie przez potrójny krąg osaczającego go tłumu i zauważył kapitana, pochylonego nad lukiem maszyny i dającego jakieś rozkazy mechanikowi.

– Czy pan wie, kapitanie – powiedział poważnie – czy pan wie, że opóźnienie dziesięciominutowe może spowodować utratę przeze mnie ważnego interesu?

– Komu pan mówi o opóźnieniu – odpowiedział zaskoczony podobnym zarzutem kapitan – skoro pan jest jego przyczyną?

– Gdyby pan nie upierał się, by mnie zostawić na łądzie – odrzekł Hopkins, podnosząc głos na wyższy ton – nie straciłby pan czasu, który tak jest cenny o tej porze roku.

– A gdyby pan, pan i pańskie skrzynie, przybyli na czas – odrzekł zirytowany kapitan – moglibyśmy skorzystać z wzbierającego przyływu i byłibyśmy o dobre trzy mile dalej.

– Nie wchodzę w te rozważania. Muszę być przed północą w hotelu Waszyngton w Albany, a jeżeli przybędę po północy, chyba lepiej byłoby mi nie wyjeżdżać z Nowego Jorku. Ostrzegam pana, że w takim wypadku zaskarżę pańską administrację i pana o odszkodowanie.

– Niech mnie pan zostawi w spokoju, dobrze? – krzyknął kapitan, zaczynając się wściekać.

– Oczywiście, że nie, dopóki pańska bojaźliwość i skłonność do oszczędzania na paliwie będą zagrażać mi utratą fortuny! Naprzód! Palacze, cztery, pięć dobrych szufli węgla do pieców, a pan, mechaniku, niech pan podłoży podkładkę pod zawór kotła, żebyśmy nadgonili stracony czas!

I Hopkins rzucił do maszynowni sakiewkę, w której błyszczało kilka dolarów.

Kapitan wpadł w nieopisany gniew, ale nasz wściekły podróżny miał siłę krzyczeć głośniejsze i dłużej niż on. Co do mnie, szybko oddaliłem się z miejsca konfliktu, wiedząc, że to żądanie, aby mechanik zacisnął zawór aby zwiększyć ciśnienie pary i przyspieszyć bieg statku, groziło nie niczym innym, jak wybuchem kotła.

Nie trzeba mówić, że towarzysze naszej podróży uznali ten sposób za oczywisty. Pomyślałem, że nie powiem o tym pani Melvil, która śmiała się do łez z moich chimerycznych obaw.

Kiedy do niej dołączyłem, jej wielkie rachunki były skończone a handlowe niepokoje nie marszczyły już jej uroczego czoła.

– Opuścił pan kupca – powiedziała – a odnajduje pan światową kobietę. Może pan więc mówić o czym się panu podoba, opowiadać jej o sztuce, uczuciach, poezji...

– Opowiadać o sztuce! – zawołałem. – O marzeniach poetyckich po tym, co widziałem i słyszałem! O nie, nie! Jestem nasączony merkantylnym¹¹ duchem, słyszę już tylko dźwięk dolarów i jestem oślepiony ich cudownym lśnieniem. Widzę w tej pięknej rzece tylko bardzo wygodną drogę dla towarów, w jej uroczych brzegach tylko drogę holowniczą, w tych ślicznych miasteczkach tylko ciąg sklepów z cukrem i bawełną, i poważnie myślę przerzucić przez Hudson tamę i wykorzystywać wody rzeki do poruszania młynka do kawy!

– Ale, ale! Młynek do kawy, osobny, to jest myśl!

– Dlaczego, proszę wybaczyć, nie miałbym mieć podobnych pomysłów jak inni?

– To znaczy, że ukłął pana bąk przemysłowy? – zapytała, śmiejąc się, pani Melvil.

– Niech pani to oceni sama – odpowiedziałem.

Opisałem jej różne sceny, których byłem świadkiem. Wysłuchała poważnie mojego opowiadania, jak to wypada każdemu inteligentowi amerykańskiemu i zaczęła się zastanawiać. Paryżanka nie pozwoliłaby mi powiedzieć nawet połowy.

– No więc, co pani myśli o tym Hopkinsie?

– Człowiek ten – odpowiedziała mi – może być wielkim geniuszem spekulacji, który zakłada gigantyczne przedsiębiorstwo, albo po prostu jakimś prostym treserem niedźwiedzi z najgorszego jarmarku w Baltimore.

Zacząłem się śmiać i konwersacja zesłała na nowe tematy.

Nasza podróż zakończyła się bez kolejnych incydentów, tylko Hopkins o mało nie zrzucił do wody jednej z wielkich skrzyń, chcąc przemieścić ją mimo sprzeciwu kapitana. Dyskusja, jaka potem nastąpiła, posłużyła znów poświadczeniu wagi jego interesów i wartości jego paczek. Zjadł obiad i kolację jak człowiek, który nie ma na celu jedynie odzyskać siły, ale wydać możliwie jak najwięcej pieniędzy. W końcu, kiedy przy płynęliśmy do punktu przeznaczenia, nie było podróżnego, który nie mógłby opowiadać cudów na temat tego dziwnego osobnika.

“Kentucky” dobił do brzegu w Albany przed tą nieszczęsną godziną, przed północą. Ofiarowałem ramię pani Melvil, czując się szczęśliwym, że wysiadam zdrowy i cały, gdy tymczasem mistrz Augustus Hopkins, po wyładowaniu z wielkim hukiem swych dwóch cudownych skrzyń, wchodził triumfalnie w towarzystwie znacznego tłumu do hotelu Waszyngton.

Zostałem przyjęty przez pana Francisa Wilsona, ojca pani Melvil, z typowym wdziękiem i prostotą, które dodają tyle wartości gościnności. Mimo moich podziękowań i odmów zostałem zmuszony do zajęcia ślicznego niebieskiego pokoju w domostwie szacownego kupca. Nie mogłem nazwać pałacem tego wielkiego domu, którego wielkie apartamenty wydawały się maleńkie wobec olbrzymich magazynów, gdzie składowane są towary ze wszystkich stron świata. Tłum urzędników, pracowników, sprzedawców, robotników fizycznych mrowił się w tym prawdziwym miasteczku, o którym domy handlowe Hawru i Bordeaux nie dają nawet mglistego wyobrażenia. Mimo wszelkiego rodzaju zajęć pana domu, byłem traktowany niczym jakiś biskup i nie musiałem o nic prosić – wystarczyło, że tylko o czymś zamarzyłem, a już to miałem. W dodatku służącymi byli Murzyni, a kto raz był przez nich obsłużony, nigdy nie będzie już z nikogo tak zadowolony, chyba, że z siebie samego.

Nazajutrz spacerowałem po tym cudownym mieście Albany, którego sama nazwa mnie zawsze urzekała.¹² Widziałem w nim całą nowojorską działalność. Podobny ruch w biznesie, taka sama mnogość interesów. Pragnienie zysków ludzi handlu, zapal w pracy, ich potrzeba

wyciągania pieniędzy za pomocą wszelkich procesów, jakie oferują przemysł lub spekulacja, nie ma u handlowców Nowego Świata charakteru odpychającego, jaki czasami bywa u ich kolegów ze Starego Świata. Jest w sposobie ich działania pewna wielkość, bardzo miła zresztą. Rozumie się, że ci ludzie mają potrzebę wiele zarabiać, ponieważ równie dużo wydają.

W porze posiłków, które podawane były luksusowo, jak również wieczorem, rozmowa, najpierw ogólna, szybko się konkretyzowała. Mówiono o mieście, jego przyjemnościach, jego teatrze. Pan Wilson wydawał się być na bieżąco z tymi światowymi rozrywkami, ale wydał mi się tak amerykański, jak to tylko możliwe, kiedy mówi się o dziwacznościach wszystkich miast w Ameryce, czym mocno interesowaliśmy się w Europie.

– Pan czyni aluzję – powiedział mi pan Wilson – do naszej postawy wobec sławnej Loli Montes?

– Niewątpliwie – odpowiedziałem. – Tylko Amerykanie mogą brać na serio hrabinę de Lansfeld.

– Braliśmy ją na serio – odrzekł pan Wilson – ponieważ działała poważnie, tak jak nie zważamy na sprawy ważniejsze, kiedy traktowane są lekko.

– Tym, co was niewątpliwie szokuje – powiedziała pani Melvil żartobliwym tonem – jest to, że Lola Montes, poza innymi rzeczami, zwiedziła pensjonaty dla młodych dziewcząt.

– Wyznam szczerze – odrzekłem – że fakt ten wydał mi się dziwaczny, ponieważ ta uroczą tancerka nie jest przykładem, który można byłoby dać młodym dziewczętom.

– Nasze młode dziewczęta – odpowiedział pan Wilson – są wychowane w bardziej niezależny sposób niż wasze. Kiedy Lola Montes zwiedzała pensjonaty, nie czyniła tego ani jako tancerka z Paryża, ani jako hrabina de Lansfeld de Baviere, ale jako sławna kobieta, której widok mógł być tylko miły. Nie powstała z tej wizyty żadna zła konsekwencja dla dzieci, które ją oglądały z ciekawością. Było to święto, przyjemność, rozrywka, to wszystko. Gdzie jest w tym zło?

– Złem jest to, że te niezwykle owacje rozpieszczają wielkich artystów. Będą nieznośni, wracając ze Stanów Zjednoczonych.

– Czy mają więc na co się skarżyć? – spytał żywo pan Wilson.

– Wręcz przeciwnie – odpowiedziałem – ale jak na przykład Jenny Lind,¹³ mogłaby być uhonorowana gościnnością europejską, kiedy tutaj widzi najbardziej poważanych ludzi cisnących się wokół jej pojazdu w czasie publicznych świąt? Jaka reklama będzie kiedykolwiek godna sławetnej fundacji szpitali stworzonej przez jej impresaria?

– Mówi pan jak zazdrośnik – zripostowała pani Melvil. – Wymawia pan tej sławetnej artystce, że nigdy nie pomyślała, aby słyszano ją w Paryżu?

– Nie, oczywiście nie, *mistress*, a poza tym wcale jej nie radzę tam się udawać, bo nie otrzymałaby tam przyjęcia, jakie zgotowaliście jej tutaj.

– Przegrałby pan – powiedział pan Wilson.

– Mniej niż ona, według mnie.

– Straciłby pan co najmniej szpitala – powiedziała, śmiejąc się, pani Melvil.

Dyskusja w zabawnym tonie przedłużała się. Po kilku chwilach pan Wilson powiedział mi:

– Ponieważ te występy i popisy interesują pana – doskonale się składa. Jutro ma miejsce licytacja pierwszych biletów na koncert pani Sontag.¹⁴

– Licytacja, tak jakby chodziło o kolej?

– Bez wątpienia, a nabywca, stający z najodważniejszymi żądaniami, jest po prostu zwykłym kapelusznikiem z Albany.

– Jest on więc melomanem? – spytałem.

– On!...Ten John Turner!... On nienawidzi muzyki. To dla niego najnieprzyjemniejsze dźwięki.

– To jakież jest jego cel?

– Przedstawić się jak najlepiej opinii publicznej. To jest reklama. Będzie się mówiło jedynie o nim, nie tylko w mieście, ale we wszystkich prowincjach Unii, w Ameryce i w Europie, i zakupią u niego kapelusze, a on wyśle chłam, który zostanie rozprzedany na całym świecie!

– Niemożliwe!

– Zobacz pan jutro, a gdyby potrzebował pan kapelusza...

– Nie kupię go u niego! Muszą być paskudne.

– Ach! zaciętrzewiony Paryżanin! – wykrzyknęła pani Melvil, wstając.

Pożegnałem moich gospodarzy i poszedłem śnić o amerykańskich dziwactwach.

Nazajutrz asystowałem przy licytacji sławetnego pierwszego biletu na koncert pani Sontag, z powagą, jaka nawet najbardziej flegmatycznemu mieszkańcowi Unii byłaby honorem. Kapelusznik John Turner, bohater tej nowej formy ekscentryzmu, przyciągał wszystkie spojrzenia. Jego przyjaciele zaczepiali go i pozdrawiali jakby ocalił niezależność swego kraju. Inni go zachęcali. Postawiono na jego szczęście i szczęście jego licznych konkurentów równego mu stanu.

Zaczęła się licytacja. Pierwszy bilet szybko podrożał z czterech dolarów na dwieście, trzysta. John Turner zachowywał się jakby był pewny podbić stawkę jako ostatni. Dorzucał

zawsze tylko małą sumkę do poprzednio ustalonej przez swych przeciwników ceny, bo wystarczyło temu dzielnemu człekowi podnieść ją o jednego dolara, ale liczył się także z poświęceniem, gdyby to było konieczne, tysiąca, aby zdobyć to cenne miejsce. Liczby trzysta, czterysta, pięćset i sześćset dość szybko następowały jedna po drugiej. Świadkowie byli podnieceni do najwyższego stopnia i aprobujące pomruki witały każdego podbijającego dość odważnie stawkę. Ten pierwszy bilet był w oczach wszystkich bezcenny, innymi mało się przejmowano. Jednym słowem, była to sprawa honoru.

Nagle dało się słyszeć nieco dłuższe, niż poprzednie, "hurra". Kapelusznik mocnym głosem krzyknął:

– Tysiąc dolarów!

– Tysiąc dolarów – powtórzył urzędnik licytujący. – Nikt nie da więcej?... Tysiąc dolarów za pierwszy bilet na koncert... Nikt nic nie mówi?

W ciszy, dzielącej te różne okrzyki, czuło się głucho drżenie przebiegające salę. Ja także byłem pod wrażeniem wyniku. Turner, pewny swego triumfu, wodził zadowolonym wzrokiem po swych admiratorach. Trzymał w dłoni zwitek banknotów jednego z sześciuset banków Stanów Zjednoczonych. Poruszał nimi, kiedy zabrzmiały słowa:

– Trzy tysiące dolarów! – krzyknął głos, który spowodował, że zawróciło mi się w głowie.

– Hurra! – wrzasnęła rozentuzjasmowana sala.

– Trzy tysiące dolarów – powtórzył licytator.

Przed podobnym nabywcą kapelusznik pochylił głowę i uciekł nie zauważony w ogólnej radości.

– Sprzedany za trzy tysiące dolarów! – powiedział licytator.

Zobaczyłem wtedy zbliżającego się Augustusa Hopkinsa, we własnej osobie, wolnego obywatela Stanów Zjednoczonych Ameryki. Oczywiście stawał się teraz człowiekiem sławnym i pozostawało już jedynie komponować na jego cześć hymny pochwalne.

Z trudem wyszedłem z sali i z olbrzymim wysiłkiem przetarłem sobie drogę pośród dziesięciu tysięcy osób czekających u drzwi na triumfującego kupca. Gdy się pojawił, powitały go radosne okrzyki. Po raz drugi od wczoraj został odprowadzony do hotelu Waszyngton przez rozentuzjasmowany tłum. Tymczasem on pozdrawiał wszystkich wyrazem twarzy równocześnie wyniosłym i skromnym, a wieczorem, na ogólne żądanie, pojawił się na dużym balkonie hotelu, oklaskiwany przez tłum szalony z radości.

– No i co pan o tym sądzi? – spytał mnie pan Wilson, kiedy po obiedzie opowiedziałem mu o wypadkach dnia.

– Myślę, że, jako Francuz i Paryżanin, otrzymam od pani Sontag jedno miejsce dla mnie, bez konieczności płacenia za nie piętnastu tysięcy franków.

– Też tak myślę – odrzekł pan Wilson – ale jeżeli pan Hopkins jest człowiekiem dość sprytnym, jego trzy tysiące dolarów powinny przynieść mu sto tysięcy. Człowiekowi, który doszedł do takiego stopnia w swej ekscentryczności, wystarczy pochylić się, by zbierać miliony.

– Kim może być ten Hopkins? – spytała pani Melvil.

Ale właśnie o to pytało równocześnie z nią całe miasto Albany.

Wydarzenia odpowiedziały na to pytanie. Rzeczywiście kilka dni później nowe skrzynie, o formach i wymiarach jeszcze dziwniejszych, przybyły parowcem z Nowego Jorku. Jedna z nich, która wyglądała jak dom, wjechała nieostrożnie, a może, jak kto woli, ostrożnie, w wąskie uliczki przedmieść Albany. Wkrótce nie mogła przesuwac się dalej i musiała zatrzymać się w miejscu, nieruchoma jak skała. W dwadzieścia cztery godziny cała ludność miasta przybyła na miejsce wydarzeń. Hopkins korzystał z tego zgromadzenia, aby wygłosić olśniewające przemówienia. Grzmiał przeciw ciemnym miejscowym architektom i mówił wręcz o zmianie ułożenia ulic miasta, aby dać przejście swoim paczkom.

Szybko stało się oczywiste, że należy wybrać między dwoma wariantami – albo zniszczyć skrzynię, której zawartość wzbudzała ciekawość, albo wyburzyć budowlę, która była przeszkodą. Ciekawscy z Albany niewątpliwie woleliby to pierwsze, ale Hopkins myślał co innego. Ten stan rzeczy jednakowoż trwać nie mógł. Ruch w dzielnicy był zatamowany a policja groziła sądowym nakazem rozwalenia przekłętej skrzyni. Hopkins usunął tę trudność, kupując dom, który mu przeszkadzał i każąc go rozebrać.

Pozostawiam domysłem, czy to ostatnie posunięcie wyniosło go na wyższy poziom sławy. Jego imię i jego sprawa obiegały wszystkie salony. Tylko o nim mówiło się tak wśród Konfederatów, jak i Unionistów.¹⁵ Nowe plotki powstawały w kawiarniach Albany na temat projektów tego tajemniczego człowieka. Dzienniki oddały się najodważniejszym podejrzeniom, które odwróciły chwilowo uwagę publiczności od problemów, jakie zaistniały między Kubą a Stanami Zjednoczonymi. Myślę nawet, że miał miejsce pojedynek między pewnym handlarzem i oficerem z miasta, a bohater Hopkins przy tej okazji zatriumfował.

A kiedy miał miejsce koncert pani Sontag, na którym byłem witany z mniejszą pompą niż nasz bohater, ten, przez samą swoją obecność, nie zmienił celu tego zebrania.

W końcu tajemnica została wyjaśniona i wkrótce Augustus Hopkins nie starał się jej już ukrywać. Człowiek ten był po prostu przedsiębiorcą, który przybył założyć pewien rodzaj

Wystawy Światowej w okolicach Albany. Ryzykował na własne konto jedno z tych wielkich przedsięwzięć, na jakie monopol dotychczas rezerwowały sobie rządy.

W tym celu zakupił odległą o trzy mile od Albany wielką, nieuprawną łąkę. Na tym opuszczonym terenie wznosiły się już tylko ruiny fortu William, który chronił niegdyś przyczółki angielskie na granicy z Kanadą. Hopkins zajął się już zatrudnieniem robotników, aby zacząć wreszcie te gigantyczne prace. Jego wielkie skrzynie zawierały bez wątpienia narzędzia i maszyny do budowy.

W chwili, kiedy ta nowina rozeszła się na giełdzie w Albany, pośrednicy zajęli się nią natychmiast. Każdy z nich chciał dogadać się z wielkim przedsiębiorcą, aby wyrwać od niego obietnicę akcji. Ale Hopkins niejasno odpowiadał na wszystkie te prośby. Nie przeszkodziło to jednak w ustaleniu fikcyjnego kursu wymyślonych akcji i sprawa natychmiast zaczęła nabierać wielkiego rozmachu.

– Człowiek ten – powiedział mi pewnego dnia pan Wilson – jest spekulatorem bardzo zręcznym. Nie wiem, czy jest milionerem, czy golcem, ponieważ trzeba być Jobem¹⁶ albo Rotszyldem,¹⁷ aby porywać się na takie przedsięwzięcia, ale na pewno zrobi wielką fortunę.

– Nie wiem jeszcze, w co wierzyć, mój drogi panie Wilsonie, ani co podziwiać: czy człowieka, który waży się na podobne sprawy, czy kraj, który je popiera i chroni, nie prosząc o nic więcej.

– To w ten sposób osiąga się sukces, mój drogi panie.

– Lub popada się w ruinę – odrzekłem.

– No, tak – odrzekł pan Wilson – ale niech pan wie, że w Ameryce upadłość wzbogaca wszystkich i nie rujnuje nikogo.

Nie miałem żadnego argumentu przeciw panu Wilsonowi, bo musiałyby być to jakieś fakty. Toteż niecierpliwie oczekiwałem na rezultaty tych działań i reklam, które interesowały mnie w najwyższym stopniu. Zbierałem najmniejsze nowinki na temat przedsięwzięcia Augustusa Hopkinsa, czytałem wszystkie dzienniki, które codziennie zajmowały się tym tematem.

Na kupiony przez Hopkinsa teren wyruszyła pierwsza tura robotników i ruiny fortu William poczynają z wolna znikać. Nie mówiono już o niczym innym jak o tych pracach, których cel wzbudzał prawdziwy entuzjazm. Propozycje sypały się ze wszystkich stron, tak z Nowego Jorku, jak i z Albany, Bostonu czy Baltimore. “Instrumenty muzyczne”, “dagerotypy”,¹⁸ “gorsety brzuszne”, “pompy odśrodkowe”, “pianina Indianki” zapisywały się, aby widnieć na najlepszych miejscach, a wyobraźnia amerykańska szła ciągle swym właściwym torem. Zapewniano, że wokół Wystawy wzniesie się całe miasto. Przepisywano

Augustusowi Hopkinsowi projekt zbudowania miasta rywalizującego z Nowym Orleanem i nadania mu swego imienia. Dodano wkrótce, że miasto to, z powodu bliskości granicy ufortyfikowane, nie omieszka stać się szybko stolicą Stanów Zjednoczonych! Itede, itepe...

Kiedy te przesadne wyobrażenia obiegały okolice i mnożyły się w głowach, bohater tego poruszenia pozostawał niemal niemy. Regularnie uczęszczał na giełdę w Albany, zajmował się interesami, spisywał przybywające towary, ale nie otwierał ust na temat swych rozległych zamierzeń. Dziwiono się nawet, że człowiek o takiej sile przebiccia nie korzysta z żadnej profesjonalnej reklamy. Być może pogardzał on takimi prostymi sposobami popularyzowania przedsięwzięć i zostawiał sobie całą zasługę.

A więc rzeczy miały się w ten sposób, kiedy pewnego pięknego ranka "New York Herald" zamieścił na swych łamach następującą nowinę:

"Każdy wie, że prace przy Wystawie Światowej w Albany postępują szybko. Zniknęły już ruiny starego fortu William i fundamenty wspaniałych budowli są kopane pośród ogólnego entuzjazmu. Pewnego dnia łopata jednego z robotników odkryła resztki olbrzymiego szkieletu, zapewne zasypanego od tysięcy lat. Śpieszymy dorzucić, że odkrycie to nie opóźnia w niczym prac, które powinny dać Stanom Zjednoczonym Ameryki ósmy cud świata."

Poświęciłem tym kilku liniom zupełnie obojętną uwagę, taką, jaką się daje niezliczonym plotkom, które zaśmiecają dzienniki amerykańskie. Nie wątpiłem, że później z tego mogą być wyciągnięte korzyści. To prawda, że to odkrycie w ustach Augustusa Hopkinsa nabrało wielkiego znaczenia. Tak jak zachowywał rezerwę przy wyjaśnianiu swych wielkich projektów, godnych wielkiego przedsięwzięcia, tak był bardzo rozrzutny w dyskusjach, opowiadaniach, uwagach, przypuszczeniach na temat ekshumacji tego wspaniałego szkieletu. Powiedziałoby się, że z tym znaleziskiem wiąże on wszystkie swoje plany powodzenia i spekulacji.

Dał także poza tym wyraz temu, że to znalezisko jest naprawdę cudowne. Wykopaliska były prowadzone zgodnie z rozkazami Hopkinsa, tak, aby natknąć się na drugi koniec gigantycznej skamienieliny, ale trzy dni uporczywej pracy do niczego jeszcze nie doprowadziły. Nie można więc było przewidzieć, jakie były te zadziwiające rozmiary, kiedy Hopkins, który własnoręcznie kopał głębokie doły o dwieście stóp za pierwszymi, dostrzegł wreszcie koniec tych wielkich szczątków. Nowina natychmiast się rozeszła z szybkością prądu elektrycznego i to unikatowe wydarzenie w dziejach geologii nabrało charakteru wydarzenia światowego.

Ze swym zadziwiającym humorem, zmiennym i przesadnym, Amerykanie nie omieszkali rozsiać tej nowiny, której znaczenie z rozkoszą powiększyli. Zapytywano się, skąd mogłyby pochodzić te wielkie szczątki, co powinno się wywnioskować z ich obecności w rodzimej ziemi. Zostały podjęte badania na ten temat przez *Albany Institute*.

Przyznaję, że to pytanie bardziej mnie interesowało niż przyszłe wspaniałości Pałacu Przemysłu i ekscentryczne spekulacje Nowego Świata. Zacząłem czatować na najmniejsze fakty na temat tej sprawy. Nie było to trudne, bo dzienniki pisały na ten temat we wszelkich możliwych formach. Miałem skądinąd dość szczęścia, by dowiedzieć się szczegółów od samego obywatela Hopkinsa.

Od czasu przybycia do Albany ten niezwykły człowiek był wielce rozrywany w najwyższych sferach miasta. W Stanach Zjednoczonych, gdzie klasę szlachecką stanowi klasa kupiecka, było całkiem normalne, że tak odważny spekulator był przyjmowany z honorami godnymi swej rangi. Toteż goszczono go w klubach, na herbatkach rodzinnych i to z bardzo charakterystycznym namaszczeniem. Pewnego dnia spotkałem go w salonie pana Wilsona. Oczywiście mówiono tylko na temat dnia, a pan Hopkins sam wychodził naprzeciw wszelkim pytaniom.

Uczył nam bardzo interesujący opis swego odkrycia, głęboki, z erudycją, a jednak też i uduchowiony. Odmalował nam sposób, w jaki zostało ono dokonane i przedstawił jego nieobliczalnych konsekwencje. Dał nam równocześnie do zrozumienia, że ma zamiar wyciągnąć z tego korzyści.

– Tylko – powiedział nam – nasze prace chwilowo są wstrzymane, bo pomiędzy pierwszymi a drugimi wykopaliskami, które odkryły końce tego szkieletu, rozciąga się połać terenu, na którym wznoszą się już niektóre z moich budynków.

– Ale jest pan pewien – spytano go – że dwa końce zwierzęcia łączą się pod tą nieporuszoną częścią ziemi?

– To nie ulega żadnej wątpliwości – odpowiedział Hopkins z pewnością w głosie. – Sądząc z fragmentów kości, jakie wydobyliśmy, zwierzę to musi mieć proporcje olbrzymie i o wiele przekracza wielkość sławetnego mastodonta¹⁹ odkrytego niegdyś w dolinie Ohio.

– Myśli pan?! – wykrzyknął niejaki pan Cornut, rodzaj naturalisty, który czynił z nauki, jak jego rodacy, przedmiot handlowy.

– Jestem pewien – odpowiedział Hopkins. – Z powodu swej budowy ten potwór wydaje się należeć do rzędu słoniowatych, ponieważ posiada wszystkie cechy tak dobrze opisane przez pana Humboldta.²⁰

– Co za nieszczęście – wykrzyknąłem – że nie można go wydobyć całego!

– A co nam w tym przeszkadza? – zapytał żywo Cornut.

– No, ale... te budowle nowo wzniesione...

Zaledwie wypowiedziałem tą niedorzeczność, która wydawała mi się naprawdę nie mieć sensu, znalazłem się w centrum kręgu pogardliwych uśmieszków. Wydawało się bardzo proste tym dzielnym przedsiębiorcom wyburzenie wszystkiego, nawet pomnika, aby wydobyć z ziemi świadka potopu. Nikt więc nie był zaskoczony, słysząc Hopkinsa, który mówił, że wydał już dyspozycje na ten temat. Każdy pogratulował mu ze szczerego serca i stwierdził, że szczęście ma rację, faworyzując ludzi przedsiębiorczych i odważnych. Co do mnie, szczerze mu pogratulowałem i zobowiązałem się odwiedzić jako jeden z pierwszych jego cudowne odkrycie. Obiecałem mu nawet, że udam się do Parku Wystawy, którego nazwa zapadła już na forum publicznym, ale poprosił mnie, bym poczekał, aż wykopaliska zostaną całkowicie zakończone, ponieważ nie można jeszcze oceniać wielkości szczątków.

Cztery dni później “New York Herald” podał nowe szczegóły na temat monstualnego szkieletu. Nie był to kościec ani mamuta, ani mastodonta, ani megaterium, ani pterodaktyla, ani plezjozaura, ponieważ wszystkie te dziwaczne nazwy paleontologiczne zostały użyte na zasadzie antyfrazy.²¹

Wszystkie wyliczone wyżej szczątki należą do trzeciej, najdalej drugiej epoki geologicznej,²² gdy tymczasem wykopaliska kierowane przez Hopkinsa miały pochodzić aż ze stanowiących skorupę globu ziem pierwotnych, w których nie odkryto dotychczas żadnej skamieniałości. Ten wielce naukowy wykład, z którego przedsiębiorcy Stanów Zjednoczonych nie zrozumieli zbyt wiele, miał wielki oddźwięk. Co można było z niego wnioskować, jeżeli nie to, że potwór ten, nie będący ani mięczakiem, ani słoniowatym, ani gryzoniem, ani przeżuwaczem, ani mięsożercą, ani ssakiem wodnym – byłże więc człowiekiem? I to człowiekiem-olbrzymem, o więcej niż czterdziestu metrach wysokości! Nie można więc już zaprzeczać istnieniu rasy tytanów, będącej poprzedniczką naszego gatunku. Jeżeli fakt ten jest prawdą, a wszyscy potwierdzali że jest, najlepiej udowodnione teorie geologiczne będą musiały zostać zmienione, ponieważ znaleziono kości znacznie poniżej złóż dyluwialnych,²³ co wskazywało, że zostały tam pogrzebane w epoce przedpotopowej.

Artykuł z “New York Herald” wywołał wielką sensację. Tekst został powtórzony przez wszystkie dzienniki Ameryki. Ten temat rozmów stanął na porządku dziennym i najśliczniejsze usta Nowego Świata wymawiały słowa najbardziej uczone i naukowe. Podjęte zostały wielkie dyskusje. Wywnioskowano z tego odkrycia najzaszczytniejsze konsekwencje dla ziemi amerykańskiej, którą ochrzczono kolebką gatunku ludzkiego, ku utracie tego tytułu przez Azję. W Kongresie i akademiach dowiedziono, że Ameryka, zaludniona od pierwszych

dni świata, była punktem wyjścia kolejnych migracji. Nowy Kontynent zabierał Staremu Światu zaszczyt bycia starożytniejszym. Na ten tak poważny temat napisano inspirowane ambicją narodową opasłe memoriały. W końcu zjazd uczonych, których rozprawy zostały opublikowane i skomentowane przez wszystkie organy prasy amerykańskiej, dowiódł jasno, że Raj ziemski, obrzeżony przez Pensylwanię, Wirginię i jezioro Erie, zajmował niegdyś aktualną przestrzeń prowincji Ohio.

Przyznaję, że wszystkie te mrzonki mnie uwiodły. Widziałem Adama i Ewę pasących swe stada dzikich zwierząt, które w Ameryce nie były fikcją tak jak u brzegów Eufratu, gdzie nie znajduje się najmniejszego nawet potwierdzenia ich obecności. Wąż-kusiciel przyjął w mej wyobraźni postać dusiciela lub grzechotnika.²⁴ Lecz tym, co mnie najbardziej zadziwiło, było to, że dawano wiarę temu odkryciu ze wspaniałym posłuszeństwem i zgodą na wodzenie się za nos. Nie przyszło nikomu do głowy, że sławetny szkielet mógłby być *puffem*, *bluffem*, *humbugiem*,²⁵ jak mówią Amerykanie, i żaden z tych tak entuzjastycznych uczonych nie pomyślał, by zobaczyć na własne oczy ten cud, który powodował owo wrzenie umysłów. Podzieliłem się tą uwagą z panią Melvil.

– A po co się tym przejmować? – powiedziała mi. – Zobaczymy naszego drogiego potwora, kiedy przyjdzie na to czas. Co do jego budowy i wyglądu, znamy je, ponieważ nie można nawet zrobić jednej mili w całej Ameryce nie natykając się na reprodukcję przedstawiającą go pod najwymyślniejszymi postaciami.

To właśnie tu objawił się największy geniusz spekulanta. Na tyle, na ile Augustus Hopkins unikał popularyzacji Wystawy, na tyle samo objawiał swój zapał, inwencję, wyobraźnię, aby zmontować swój cudowny szkielet w umysłach swych rodaków. Wszystko mu było dozwolone po tym, kiedy jego wybryki skupiły na jego osobie publiczną uwagę.

Wkrótce mury miasta zostały pokryte olbrzymimi, wielobarwnymi afiszami, wyobrażającymi potwora pod najróżniejszymi postaciami. Hopkins użył wszelkich technik znanych w dziedzinie plakatów. Zastosował najbardziej urzekające kolory. Oblepił swymi afiszami mury, balustrady nadbrzeży, pnie drzew w alejach. Na jednych linie napisów były wytyczone skosem po przekątnej, na innych złożone były one z olbrzymich liter, malowanych szczotką, co zwracało powszechną uwagę przechodniów. Ludzie spacerowali po wszystkich ulicach odziani w koszule i palta z wizerunkami szkieletu. Wieczorem olbrzymie transparenty przedstawiały go w czerni na świetlistym tle.

Hopkins nie zadowolił się tymi zwyczajnymi w Ameryce sposobami reklamy. Plakaty i czwarta część stron gazet już mu nie wystarczały. Zaczął prawdziwy kurs “szkieletologii”, na którym odwoływał się do Cuvierów, Blumenbachów, Blacklandów, Linków, Stembergów,

Brognartów i stu innych uczonych piszących na temat paleontologii. Jego kursy były wysłuchiwane i oklaskiwane do tego stopnia, że pewnego dnia dwie osoby zostały zmiżdżone u drzwi.

Nie trzeba mówić, że Mistrz Hopkins urządził im wspaniały pogrzeb i że sztandary orszaku pogrzebowego przedstawiały oczywiście nieodparte kształty modnego szczątka.

Wszystkie te zabiegi były wyśmienite dla samego miasta Albany jak i dla okolic, ale trzeba było spopularyzować sprawę w całej Ameryce. Pan Lumley, w czasie pierwszych występów Jenny Lind w Anglii, zaproponował producentom mydła, że będzie im dostarczał foremki, ale pod warunkiem, że będą one miały we wgłębieniu portret sławnej primadonny, co zostało zaakceptowane i dało wspaniałe rezultaty, ponieważ myto ręce twarzą wspaniałej śpiewaczki. Hopkins posłużył się podobnym sposobem. Korzystając z dawnych układów z fabrykantami tkaniny ubraniowej, zaoferował wkrótce dobrem gustom kupców obraz istoty prehistorycznej. Przyozdobione nim zostały także dna kapeluszy. Nawet talerze opatrzone zostały znakiem zawrotnego zjawiska! Przechodzę teraz do najlepszego. Było to niemożliwym do uniknięcia. Ubierano się, czesano, jedzono zawsze w jego interesującym towarzystwie.

Skutek tej ostrej reklamy był wielki. Toteż kiedy dziennik, bębny, trąbki i wystrzały armatnie oznajmiły, że cud zostanie wkrótce okazany podziwowi publicznemu, wybuchnął powszechny aplauz! Natychmiast zajęto się przygotowaniem wielkiej sali, aby przyjęła, jak mówiła reklama, “nie tyle entuzjastycznych widzów, których liczba będzie zawrotna, ale szkielet jednego z gigantów, o którym wieść niosła, że sięga nieba”.

Musiałem opuścić Albany za kilka dni. Bardzo żałowałem, że mój pobyt nie może się przedłużyć tak, abym mógł uczestniczyć w inauguracji tego unikalnego spektaklu. Z drugiej strony, nie chcąc wyjechać nie widząc przynajmniej czegośkolwiek, postanowiłem udać się w tajemnicy do Parku Wystawy.

Pewnego ranka, ze strzelbą na ramieniu, skierowałem się w tamtą stronę. Szedłem około trzech godzin mniej więcej w kierunku północnym, nie mogąc uzyskać dokładnych wskazówek dotyczących celu, jaki chciałem osiągnąć. Jednakowoż, siłą poszukiwań miejsca starego fortu William, dotarłem, po zrobieniu pięciu czy sześciu mil, do celu mojej podróży.

Byłem na środku wielkiej łąki, z której zaledwie maleńka część była poruszona jakimiś niedawnymi pracami, nie mającymi jednak żadnego znaczenia. Znaczna przestrzeń była hermetycznie otoczona palisadą. Nie wiedziałem, czy ograniczała ona miejsce Wystawy, ale fakt ten został potwierdzony przez myśliwego, łowcę bobrów, którego spotkałem w okolicy, a który kierował się w stronę granicy kanadyjskiej.

– To właśnie tutaj – powiedział mi – ale nie wiem, co się tam szykuje, bo tego ranka słyszałem wiele wystrzałów z karabinu.

Podziękowałem mu i kontynuowałem moje poszukiwania.

Nie widziałem najmniejszego śladu prac poza palisadą. Całkowita cisza panowała nad tą nieuprawną łąką, której wielkie budowle powinny wypełniać życie i ruch.

Nie mogąc zaspokoić swej ciekawości bez wejścia za parkan, postanowiłem zrobić okrążenie, by zobaczyć, czy nie odkryję jakiegoś sposobu wejścia. Szedłem długo, nie dostrzegłszy niczego podobnego do drzwi. Mocno zbity z tropu, zapytywałem się niebiosa, czy istnieje tu jakiś otwór, jakaś zwykła dziura, abym mógł przyłożyć oko, kiedy nagle, na jednym z rogów zamknięcia, dostrzegłem przewrócone deski i tyczki.

Nie zahałem wślizgnąć się do środka. Stałem na zdewastowanym terenie. Tu i ówdzie, wysadzone prochem, leżały kawałki skał. Glebę wybrzuszały podobne do fal wzburzonego morza wzniesienia ziemi. Doszedłem w końcu do brzegów głębokiego wykopu, na dnie którego leżała wielka ilość kości.

Miałem więc przed oczami przedmiot tego wielkiego hałasu i tylu reklam. Nie było w nim nic nadzwyczajnego. Była to sterta fragmentów kostnych wszelkiego rodzaju, pokruszonych na tysiące kawałków. Złamania niektórych wyglądały zupełnie świeżo. Nie rozpoznawałem w nich najważniejszych części szkieletu ludzkiego, które, według przedstawianych wymiarów, powinny przypominać wielką drabinę. Bez zbytnich wysiłków wyobraźni mogłem pomyśleć, że jestem w zakładzie przetwórstwa dziczyzny, to wszystko!

Stałem bardzo rozczarowany, czego można się było domyślić. Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym ulec pomyłce, gdy nagle dostrzegłem na jednej mocno zdeptanej stopami skarpie kilka kropel krwi. Idąc za tymi śladami, doszedłem do otworu, przy którym spostrzegłem następne plamy krwi, na które nie zwróciłem uwagi wchodząc. Obok nich leżał kawałek poczerńiałego od prochu papieru, pochodzący niewątpliwie z przybitki.²⁶ Zgadzało się to z tym, co powiedział mi łowca bobrów.

Podniosłem skrawek papieru. Nie bez trudu odczytałem kilka ze słów, jakie na nim były napisane. Był to zapis dostawy dokonanej dla pana Augustusa Hopkinsa przez niejakiego pana Barckleya. Nic nie wskazywało rodzaju dostarczonych przedmiotów, ale następne fragmenty, jakie znalazłem rozrzucone tu i ówdzie, pozwoliły mi zrozumieć, o co chodziło. Mimo, że moje rozczarowanie było ogromne, nie mogłem jednak opanować niepojętego śmiechu. Znajdowałem się naprzeciw giganta i jego szkieletu, ale szkieletu składającego się z części mocno różnorodnych, które żyły niegdyś na łąkach Kentucky pod nazwą bawołów, jałówek, wołów i krów. Pan Barckley był po prostu

rzeźnikiem z Nowego Jorku, który wysłał olbrzymie dostawy kości sławnemu panu Augustusowi Hopkinsowi! Te ciała kopalne na pewno nigdy nie położyły Pelionu na Osse, aby podbić Olimp!²⁷ Ich resztki znalazły się na tym miejscu tylko dzięki staraniom oświeconego *puffisty*, który kazał innym myśleć, że natknął się na nie przez przypadek, kopiąc fundamenty pałacu, który nigdy nie miał zaistnieć!

Byłem właśnie w tym miejscu moich rozważań i zaśmiewałem się, a radość moja byłaby bardziej szczerą, gdybym, tak jak moi gospodarze, nie był ofiarą tego niewiarygodnego *humbugu* – kiedy nagle wesołe krzyki rozległy się na zewnątrz.

Dobiegłem do wylomu w parkanie i zobaczyłem mistrza Augustusa Hopkinsa, we własnej osobie, nadbiegającego z karabinem w rękę, objawiającego ogromną radość. Skierowałem się ku niemu. Nie wydawał się absolutnie zaniepokojony, widząc mnie na scenie swych prac.

– Zwycięstwo! Zwycięstwo! – zakrzyknął.

Dwaj Murzyni, Bobby i Dacopa, szli w pewnej odległości za nim. Co do mnie, nauczony doświadczeniem, wzmogłem uwagę, myśląc, że sprytny mistyfikikator chwyci mnie za poły.

– Jestem szczęśliwy – powiedział mi – że mam świadka tego, co się tutaj dzieje. Widzi pan człowieka powracającego z polowania na tygrysa.

– Z polowania na tygrysa!... – powtórzyłem, zdecydowawszy nie wierzyć w ani jedno słowo.

– Na czerwonego tygrysa – dodał – inaczej mówiąc, kuguara,²⁸ który cieszy się dość wielką renomą dzięki swemu okrucieństwu. Diabelskie zwierzę zaszło się za mym ogrodzeniem, jak pan to może stwierdzić. Rozbiło te bariery, które dotąd dały radę oprzeć się ogólnej ciekawości i rozwaliło na kawałki mój cudowny szkielet. Natychmiast, gdy mnie zawiadomiono, nie zahałem się ścigać go aż do ubicia. Spotkałem zwierza w gęstych zaroślach, trzy mile stąd. Spojrzałem nań – zatrzymał na mnie swe dwa kocie ślepie. Rzucił się jednym skokiem, którego nie mógł zakończyć inaczej jak koziołkując, bo powaliłem go jedną kulą pod łopatkę. To był mój pierwszy strzał w życiu, do diabła! Da mi to pewną sławę i nie oddam tego kuguara nawet za miliard dolarów!

“No, a miliony znów popłyną!” – myślałem.

W tym momencie nadeszli dwaj Murzyni, rzeczywiście ciągnąc ścierwo czerwonego tygrysa wielkiego rozmiaru, zwierza niemal nieznanego w tej części Ameryki. Jego maść była jednolicie płowa, uszy czarne, koniec ogona również czarny. Nie obchodziło mnie, czy Hopkins faktycznie go zabił, czy też został on mu dostarczony martwy, odpowiednio wypchany przez jakiegoś tam Barckleya, ponieważ byłem poruszony lekkością i obojętnością,

z jakimi spekulant mówił o swym szkielecie. A jednak jasnym było, że ta sprawa kosztowała go więcej niż sto tysięcy franków!

Nie chcąc wtajemniczać go w fakt, że przypadek uczynił mnie posiadaczem jego sekretu i mistyfikacji – wydaje mi się, że byłby zdolny oddać mnie łasce Losu – po prostu spytałem go:

– Jak pan teraz ma zamiar wyjść z tego impasu?

– Na nieba! – odrzekł. – O jakim impasie pan mówi? Cokolwiek bym teraz nie zrobił, i tak mi się uda. Bydlę zniszczyło moje szczątki, które wzbudziłyby zachwyt całego świata, bo były absolutnie unikalne, ale nie zniszczyło mojej pozycji i mojego wpływu, a więc zachowam korzyści mojej pozycji człowieka sławnego.

– Ale jak pan zachowa twarz wobec publiczności tak entuzjastycznej i niecierplivej? – zapytałem poważnie.

– Mówiąc im prawdę, nic, tylko prawdę.

– Prawdę! – krzyknąłem, chcąc wiedzieć, co on rozumie przez to słowo.

– Niewątpliwie – wyjaśnił najspokojniej na świecie. – Czyż nie jest prawdą, że to zwierzę przedarło się do wewnątrz ogrodzenia? Czyż nie jest prawdą, że rozrzuciło na strzępy te cudowne kości, przy których wydobyciu tak się natrudziłem? Nie jestże prawdą, że poszedłem za nim i zabiłem je?

“Oto – myślałem – zbiór faktów, których bym nie poprzysiągł.”

– Publika – kontynuował – nie może wnieść swoich pretensji dalej, bo zna całą sprawę. Uzyskam nawet reputację dzielnego człowieka i już nie wiem, jakiego rodzaju sławy może mi teraz zabraknąć.

– Lecz co daje panu sława?

– Fortunę, jeżeli będę umiał o nią zagrać. Człowiekowi znanemu wszelkie nadzieje są dozwolone. Może robić wszystko, wszystko przedsięwziąć. Gdyby Waszyngton²⁹ chciał pokazywać cielecia o dwóch głowach po kapitulacji York Town, zapewne zdobyłby wiele pieniędzy.

– To możliwe – odrzekłem poważnie.

– To oczywiste – odparł Augustus Hopkins. – Toteż mam jedynie kłopot z wyborem tematu do pokazywania, popularyzowania, odkrywania.

– Tak – powiedziałem – wybór jest trudny. Tenory są bardzo zużyte, tancerki się już zmęczyły i to, co im pozostaje z nóg, jest już poza ceną. Bracia syjamscy zakończyli życie a foki milczą ku rozczarowaniu dystyngowanych profesorów je uczących.

– Nie będę się uciekał do podobnych cudów. Jakieś zużyte, przemęczone, martwe, milczące, czy to foki, syjamscy bracia, tancerki czy też tenorzy, są oni i tak zbyt dobrzy dla

takiego człowieka jak ja, który jest wart tyle sam z siebie! Mam więc nadzieję mieć przyjemność zobaczyć pana w Paryżu, mój drogi panie!

– Zamierza pan – spytałem – znaleźć w Paryżu ten mało wart obiekt, który stanie się sławny dzięki pana zasłudze?

– Być może – odrzekł poważnie. – Kiedy podam swą dłoń jakiejś córce portierki, która nigdy nie mogłaby być przyjęta do Konserwatorium, uczynię z niej największą śpiewaczkę obu Ameryk!

Po tych słowach pożegnaliśmy się i powróciłem do Albany. Tego samego dnia grzmotnęła straszna nowina. Hopkins został uznany za człowieka zrujnowanego. Na jego korzyść otwarły się znaczące zapisy. Każdy udawał się do Parku Wystawy, aby zobaczyć rozległość strat, co dało wcale niemało dolarów spekulantowi. Sprzedał za szalenie wysoką cenę skórę kuguara, który go zrujnował tak w sam czas i zachował swą reputację najbardziej przedsiębiorczego człowieka Nowego Świata. Co do mnie, wróciłem do Nowego Jorku, potem do Francji, pozostawiając Stany Zjednoczone bogatsze, nie wiedzące o tym jednak, o jeden *humbug* więcej. Ale Stany nie są w stanie ich już zliczyć! Wyciągnąłem z tego wniosek, że przyszłość artystów bez talentu, śpiewaków bez głosu, tancerzy bez mocnych nóg, skoczków bez sznura byłaby niewątpliwie straszna, gdyby Krzysztof Kolumb nie odkrył Ameryki.

Przypisy

- 1 *Mistress* (ang.) – pani.
- 2 Bajadera – hinduska tancerka przy świątyniach Buddy.
- 3 Gaucho – pasterz bydła z pampasów Ameryki Południowej.
- 4 Pachołek – urządzenie cumownicze, najczęściej w postaci słupka.
- 5 Hopkins – nazwisko złożone z dwóch słów angielskich: *hop* – skakać i *kins* – krewni.
- 6 Stopa – miara długości; tu: stopa angielska równa 0,305 m.
- 7 Mila – tu: mila angielska równa 1609 m.
- 8 Kompania Indyjska – francuska kompania handlowa powstała w 1719 roku z połączenia kilku innych towarzystw.
- 9 “New York Herald” – popularna XIX-wieczna gazeta amerykańska.
- 10 Promesa – zobowiązanie się organu państwowego do wydania określonej decyzji.
- 11 Merkantylny – handlowy, kupiecki.
- 12 ... którego nazwa zawsze mnie urzeżała – nazwa miasta pochodzi od angielskiego tytułu książęcego, nadawanego młodszym członkom domu królewskiego (od miejscowości w Szkocji).
- 13 Jenny Lind – czołowa sopranistka operowa XIX wieku, urodzona w Szwecji.
- 14 Sontag Henrietta – primadonna operowa, występowała często w Stanach Zjednoczonych.
- 15 Konfederaci – zwolennicy secesji, czyli oderwania się południowych stanów USA; Unioniści – przeciwnicy takiego posunięcia; na tle tych różnic toczyła się w Stanach wojna secesyjna (1861-1865).
- 16 Job (Hiob) – bohater biblijnej *Księgi Hioba*; bogaty i szczęśliwy zostaje pozbawiony całego mienia przez Boga, chcącego wypróbować jego pobożność; ponownie odzyskuje majątek i zdrowie.
- 17 Rotszyld – któryś z przedstawicieli sławnej rodziny finansistów.
- 18 Dagerotyp – obraz fotograficzny otrzymany przez naświetlanie płyty miedzianej pokrytej jodkiem srebra i wywoływany parami rtęci.
- 19 Mastodont – ssak kopalny z rzędu trąbowców, przypominający słonia; żył w trzeciorzędzie.
- 20 Humboldt Alexander von (1769-1859) – przyrodnik, podróżnik i geograf niemiecki, współtwórca geografii roślin, stworzył podstawy geografii nowożytnej.

21 Antyfrazja – figura retoryczna polegająca na ironicznym użyciu wyrazu zmieniającym jego sens na przeciwny.

22 ...wyliczone należą wszystkie do trzeciej, najdalej drugiej epoki geologicznej – czyli trzeciorzędu i mezozoiku.

23 Dyluwium – plejstocen, epoka lodowcowa.

24 Grzechotnik (*Crotalus*) – rodzaj węży z rodziny *Crotalidae*, jadowite, o masywnym ciele długości około 2 m; na końcu ogona posiada “grzechotkę” – zeschnięte pozostałości skóry po wylinieniu; zamieszkuje stopy i skaliste pustynie Ameryki.

25 *Puff, bluff, humbug* – synonimy oszustwa, blagi, złego kawału (ang.) (przyp. tłum.)

26 Przybitka (*myśl.*) – nakładka z kartonu, papieru służąca do ustalenia położenia ładunku prochowego w łusce oraz do jej uszczelnienia w chwili strzału.

27 Ossa i Pelion – najwyższe szczyty gór w Tesalii (Grecja); według mitologii greckiej olbrzymy, synowie Posejdon, aby dostać się do nieba i zaatakować bogów zgromadzonych na Olimpie, zamierzali górę Ossę położyć na Pelion (albo Pelion na Ossę); pioruny Zeusa udaremniły ten plan.

28 Kuguar – inna nazwa pumy.

29 Jerzy Waszyngton (1732-1799) – współtwórca i pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych.